

Teraz nazywam się Kraglej Hipolita, ale z ~~dziedzi~~ Hancewiczów z Zaccisza. Urodziła się w 1928 r. Rodzice byli rolnikami, tatuś był po szkole rolniczej w Czyżewie. A kiedyś przed wojną był ochotnikiem z wojny 1920 r. i krzyże nawet miał.

Niewiele pamiętam, <sup>Jak</sup> Sowieci do nas przyszli, to przyjeżdżali na wieś po marchew, kapustę w jesieni, a w lutym zaraz nas wywieźli. Normalnie się zachowywali, pieniędzmi płacili.

10 lutego 1940 r. przyjechali... Był taki Sowiec - powiem, że dobry. Ja jeszcze 13 lata miała i on dla mnie pomagał wszystko składać, i mówi: "Wszystko to wam pridatsja!" A mamusia to tylko paliła "Rycerzy" ("Rycerzy Niepokalanej"), paliła, żeby potem nie niszczyli..., nawet wyrzucała z worków - taka jakaś była... A tatuś był wyszedł, bo przyszedł do nas Cieśluk i mówi: "Janek, wychodź, bo może po nas, po tych ochotników ~~przyszedł~~ <sup>przyjechali</sup>". I tatuś do Rusiłowicza poszedł, a ten posłał do nas syna - zobaczył. To tatuś powiedział: "Gdzie rodzina, tam ja!" I przyszedł.

Mama zabiegła do Cieśluków, ale nie pozwolili rozmawiać, a oni już wybierali się. Przyszli po nas, politruki - jak nazywali - tutejsze, wioskowe. Znała ich z widzenia, ale nazwisk nie powiem. Wiem, że takie były Kuryłowicze (Niemcy później gdzieś wywieźli i pobili). Przewodnikami enkawudzistów byli - jak to mówią - ruskie, ale tutejsze, Polaki, przedwojenne, żyli tutaj. Bo każdy Ruski (wojskowy) miał trzy czy ileś rodzin zabierać, to nie do każdego domu szli, tylko tam zajmą, tam zajmą.

Pozwolili pakować, co kto miał. Ubranie brali, pościel brali, mięso, nawet nóżki, "Zabierajcie to sobie" - mówi Sowiec. Czy mydło... Ale w innych domach to nie dali. U nas cukru było mało, a dzieci małe, to poszedł do Sułkowskiego poprosić i cukru z kilo przyniósł jeszcze.

No i nas do Żedni wywieźli i dalej do Białegostoku. W Żedni było 2,3 wygony, niedużo było, ale później dopełniali, dopełniali, pokąd do granicy, to dobry szacunek był. W Żedni nocowali, a na drugi dzień pojechali chyba do Białegostoku, bo pamiętam jeszcze - na Granicznej

wujaszek mieszkał, to mamusia pokazywała.

Przywieźli na stację przy Poleskiej, teraz Towarowa. Wyglądało to rozpaczliwie - jak to mówią. Człowiek był jakoś zmieszany, zrozpaczony, a kto wiedział, na ile to powiozą? O, nawet Łosiowa mówiła, że przyszli do niej i mówią, żeby nicnie brać, to i pościel, i wszystko zostawiła, bo tylko do Jedni - mówią - wywiozą i z powrotem, tu rewizję tylko zrobią. U nas Sowiec powiedział, że daleko jedziem, na Syberię, żeby dużo rzeczy zabrać, nawet nam pomagał zbierać, bo one też takie były zesłane jak i my, rozkułaczane były...

Ruszył transport z Białegostoku. To jak dalej jechali w Rosję, teraz zagranica, a przed tem to nie była zagranica, to tam zabierali, gajowych wszystkich zabierali, to i transport był duży. Jak zakręcał się pociąg - gdzie! daleko było widać koniec, ale ile wagonów było, nie pamiętam.

W wagonie było u nas... Wujaszek, Sokólskie byli, my, chyba 5 czy 6 rodzin było. W wagonie z jednej i z drugiej strony były nary; pod spodem siedzieli i na wierzchu siedzieli. Jechała moja mama Feliksa, tatuś - Jan, brat Zdzisław, siostra Zuzanna i Mieczysław - on umarł na Syberii.

4~~X~~ marca stanęła maszyna, już inny transport się z nami zaczyna. Zajechali do Tajszetu, a tam samochodem i saniami dalej na miejsce. Tu już dnia nie jechali. ~~rozwozili nas po~~ rozwozili nas po posiołkach, bo tam był p posiołek Złota Górka, Toporok, Udacznoje... Najpierw my byli na Toporku, razem z Walendziukami, potem byli w Złotej Górze. Cały transport rozbili na te posiołki i chyba cały się zmieścił, bo te posiołki duże byli. Nie słyszała, żeby Ruskie do nas krzyczeli albo co. Normalnie rozwozili nas po barakach.

W Toporku baraki - po 25 rodzin w jednym. Były tam takie okrągłe piecyki z rurą na wierzchu, stali w korytarzu. Każda rodzina miała taką kajutkę, w środku nary.

Chleby z początku dawali nam po kilogramie czy po pół, a potem po pół na robotnika, a na takiego... Potem płacili po rublu za kilo.



Nie pamiętam, żeby Ruskie mówili nam, dlaczego nas przywieźli. Inne to mówili, że to ochotniki byli, że kułaki byli, bo to Zacisze niebiednie tak żyło, dobrze gospodarzyli.

Wszyscy przeważnie pracowali w lesie, mieli takie długie piły i ścinali lasy. Był tartak na Złotej Górze. I ja jak 14 lat skpńczyła, to poszła do pracy w tartaku. Deski na wagony ładowali, a my takie opałki na sterty układali. Dostawała nie mniej, jak mój tatuś zarabiał w lesie - na miesiąc 70, 60 rubli. Wszyscy jakoś tak zarabiali... Pamiętam, lipiec-sierpień tak tatuś zarobił, że nawet na chleb nie starczało, to mamusia na Matki Boskiej Zielnej strasznie płakała - miała rubel i całą rodzinę <sup>7</sup>6 osób. W tym czasie przysłali nam paczkę z Polski. To było wtedy, gdy Niemiec jeszcze wojny nie wydał. Jeszcze można było paczki słać. My pisali stamtąd listy do rodziny do Polski, wolno nam było. Pierwszą paczkę dostaliśmy w 41 r., właśnie na Matki Boskiej Zielnej.

Ludzie jakoś dorabiali. Mieli ubranie, mieli poduszki, nosili na kołchozy - jakie wiaderko kartofli. Ale jak złapią... Mamusia moja siedziała w katakaszce. To takie malutkie pomieszczenie, ni stołka, nic, tylko taka budka i wysoko jedno okienko. I tam zamykali na 24 godzin, a budka nie ogrzana. Tam ani ruszać - naj wyżej na ziemi. A siedziała mamusia, bo poszła zahandlować na kołchoz, by coś przynieść do jedzenia, jakichś kartofli. Złapali ją ci, co nad nami byli, tacy w cywilu.

My to byli bez drutów, ale tam zejść do lasu!... Czasami my chodzili na jagody, a tam ogrodzenie jak u nas więzienie, takie wysokie druty. I tam zakluczone byli, ale to nie byli Polaki, tylko <sup>k)</sup>Ruskie. I takie byli wyżki, jak u nas w więzieniu, czterech pilnowało.

W tartaku rządźili Ruskie, a Polaki tam pomagali ~~x~~ ładować na wagony. Z Rosjanami stosunki były niekiepskie, bo ci Rosjanie też kiedyś wywiezione, jak kiedyś rozkułaczałi bogatych. Nad nami się nie ~~x~~ mścili, tartaku nikt nie pilnował, wojskowych nie było. Pamiętam, że jak do lasu po drzewo trzeba było chodzić, to my tam na metry kraśli,

a stróż pilnował. Dzieciaki się nazbierały, stróż za jednym biegnie, a reszta polana bierze i miosą do domu na opał.

(...)

Chleb był na krtaki, a potem dali bez - kilo na rodzimę. Ale z niego to się woda lała, taki to chleb, ale on nam smakował... Pamiętam, jak bez tych kartek dawali, to ja zawsze pchała się w mężczyzn, to p pomiędzy nogami przejdę. I zawsze jak mnie <sup>ma</sup>mausia posłała, zawsze ten chleb dostawała.

W Kwitku był szpital, ale nie taki jak u nas, tylko barak, tyle że większy. Byli sale i łóżka. Na sali było ludzi, jak popadnie, po 10,.. Zastrzyków nie widziała, ale lekarstwa byli. Ja zachorowałam na szkarlatynę. Pamiętam, jak mi mamusia raz przyniosła jedzenie i podawała przez lufcik, to przylecieli i dla mnie zabrali, ci z obsługi, oni kradli. Leczyli mnie, coś mi do picia dawali, bo to jest ciężka choroba, mało co się nie udusiła... Tylko mogła rumianek gorący połykać.

A potem na dezynтеріę to taki był zawałony szpital, że po dwóch leżało. Ja z siostrą. A mój brat, co umarł... Pamiętam, że jeszcze we czwartek zaszła do niego w odwiedzin i mówię do niego: "Mieciu, co ty taki pobity?" A on na stole leżał, bo na łózkach miejsca nie było, i ze stoła spadł, cała głowa pobita. I w sobotę umarł zaraz... Umarł 1 września 41 r. czy 42 - tego nie pamiętam. Chory był na dezynтеріę, a później podchwyciła cholerynka, że jeszcze wymioty miał. To już prawie każdy był na tę zarazę w szpitalu. Chłopiec miał 10 lat.

Byli tam jakieś pielęgniarki, lekarze. Dużo umierało - po 10 osób w trupiarni, jak brat tam był, leżało tam 10 osób... Czasami dużo ludzi umierało, czasami mało. Była taka rodzina - Ropelewscy się nazywali, 8 dzieci. Zostało dwoje i matka, a ojciec i te dzieci pomierali.

Pamiętam, zostali tam jedni. Mirośniczenko z żoną i z córką, z jedni, był nadieśniczym. Podali się za Ukraińców i do Polski ich nie puścili. Kalina, jego córka, przysyła do mnie pozdrowienia.



Potem my przenieśli się do Złotej Górk, ale to nie daleko - 2 km. Przeniesiono dużo, Walendziuka do Udacznoj, z Toporka to może i wszystkich. Takie same baraki, też po 25 rodzin. Chyba nas nikt nie pilnował, bo i tak wiedzieli, że nie uciekniemy do Polski.

Jeden to uciekł. Ładowali sztuki drzewa na odkryte wagony. Zrobili jemu dziurę, potem zatkali i on dojechał aż do Kijowa. To było jeszcze przed wojną z Niemcami.

Tatuz nadal chodził do lasu, ja - do tartaku z bragadą małoletnich. Dostawaliśmy kartkę na chleb, a jak Niemiec wojnę wydał, to zmniejszyli przydział chleba. Jeszcze na stołówce trochę dawali, gotowali przeważnie szacawkę i owsiankę. Jedzenie przynosiło się do baraku. Przyniesiesz, to w szacawce nie zobaczysz, ale w owsiance to prusaka zobaczysz, a wieczorem to i nie widać, jak jesz... Strażnie dużo prusaków było w tej ~~stołówce~~ kuchni.

Bania  
Lali była na parę. Parą się wmyje, wodą się popłuka i już. A ubrania brali do ciemnego pomieszczenia i tam dezynfekcję robili, bo to wszy nie brakowało.

Życie się pogorszyło, jak Niemiec wojnę wydał. Chleb np. na robotnika pół kilograma, na takiego 200 gram na dzień. A tam głównie chleb, raz na dzień jakiejś zupki dali. To nie było dużo.

Ludzie się modlili dużo, ale jak w grupie to tylko w baraku, tak żeby wszystkie baraki w jednym miejscu, to raczej nie. Ksiądz i tak wśród nas nie było.

Chodzili do szkoły, trochę, do ruskiej. Uczyli w tej szkole, jak to w Polsce przed wojną żyli, jak żaby jedli Polacy surowe, jak żaba zimna, to pod tyłek kładli, rozgrzeją - i tak jedzą. Ja bardzo mało chodziła do szkoły, tylko pierwszy rok. Później, jak poszła do pracy, to gdzie tam szkoła!... 14 lat i do roboty. Szkoła chyba nie była obowiązkowa, praca chyba też nie, przynajmniej dla dzieci, bo - pamiętam - było bardzo dużo dzieci i nie pracowali.

Jak ludzie do wojska poszli, to my już wyjechali, dokładnie nie pamiętam, kiedy. Moja rodzina wyjechała do Wostocznokazachstanska Obłast', Primonachijskij Rejon, Poczta Rulicha, Kołchoz Krasnyjkom. (Prośba do Pani Kraglej - obawiam się, że źle zapisałem ten adres. Proszę w puste miejsce wpisać poprawny adres

Blisko była rzeka ~~Kryk~~ Irtysz.

Ludzie tak rozjeżdżali się po kołchozach, by chleba tam zdobyć; kto, gdzie mógł, wyjeżdżał, a kto nie wyjechał, to strasznie tam cierpiał biedę. Cieślukowa opowiadała - to oni tam mocno przeżyli. A my jak do kołchozu już wyjechali, to już mieli lepiej. Tylko przejazd nie był dobry. Czekali my na pociągi, na stacji dzień, jak przyjdzie się nocować, to na noc nas wypędzali, tak 40 stopni mrozu, a my po gołym niebem nocowali, jak pociąg nie pasował. Normalny pociąg, bilet kupowali, z Kwitka do Szamanajchy (czy dobrze napisałem?). To w jednym miejscu jedną noc nocowali na podwórku.

Dojechali do Szamanajchy i tam jeden kołchoz przyjechał wcześniej, pozabierał ludzi, a nas zostało 4 rodzin i 5 dni nocowali w takim zajezdnym domu. Później saniami nas zabrali. Pojechało tam niedużo rodzin, te 4 tylko, a do tamtego kołchozu 7 czy 8 rodzin. Byli z nami Szatrowskie, Grzybowskie, Hardejucy, Zama<sup>ny</sup> - oni pochodzili z Litwy (proszę napisać miejscowość ), kiedyś to było w Polsce, ale teraz - jak to mówią - za linią Curzona.

Po naszym przyjeździe wszyscy chcieli zobaczyć Polaków. Przynieśli nam jeść, chleba przynieśli, kołaki.

A później zaraz mamusia i tatuś poszli do roboty, mama do spichlerza wiać zboże. Popadli do dobrego kołchozu, taki przed<sup>s</sup>tawiciel był, że oń dał trochę pszenicy, to nagotujem. A potem nam dali takie stępy jak moździerz i robili z tego pęcek, a na młynku od kawy to se kaszę przemielali.

U nas był taki domek, kiedyś w nim była łaźnia, mały domek - drzwi to jak to okno, jak tatuś wchodził albo my, to trzeba było się schylać, a okienko - takie 4 szybeczki malutkie. Całe mieszkanie... 2,70 na 3 metry. Piec zajmował czwartą część, takie deski od ściany do ściany, na noc wszystko do spania zajmowało.

Z jedzeniem to wszystko było na lewo. Czwooro nas pracowało, to my mieli ~~ponad~~ ~~trochę~~ trochę trudodni, a za trudodnień dostali tak 40 gram, zarabiali 90 kilo za cały rok. Tak płacili - nie pieniędzmi.

Priestaditiel powiedział, że ludzie głodne pracować nie będą - "Starajcie się, pokąd co leży na polu". Np. mój tatuś latem koni pasł, w jesieni jego brali na stróża, to w nocy porozbierają. Przychodzą normalnie kołchoźniki z torbami na pole, to ich priestaditiel na kilometr okrążał, żeby ich nie spotkać, bo gdyby się spotkał, a ktoś z rejonu nadjechał i kołchoźnik jaki powiedział, że priestaditiel pozwolił, to jego by więzienie czekało. Dobry to był człowiek, ale nazwiska nie pamiętam, bo brigadier to Kozaczenko nazwisko, był to też dobry człowiek.

Z początku to tylko Rosjanie tam mieszkali, potem Niemców z Kaukazu nawieźli, jak już Niemiec podchodził tu bliżej. I później tych Niemców na roboty gdzieś wzięli, a dzieci same zostały. To ~~jak~~ ~~nie~~ ~~można~~ ~~z~~ ~~nie~~ ~~można~~ pamiętam tym niemieckim dzieciom nagotują, to tylko zabiłone tym melonem, to oni jak jedli!... Z 12 tylko dwoje dzieci zostało...

A nam to było już jak Ruskim. "ali po 10 ary tego ogrodu, już kartofli trochę. Ja na wiosnę krowami orała. 6 krów do jednego pług. Jak te krowy oswoili, to już nam dobrze było, bo orzesz, jak się umęczysz, to na odpoczynek mleka sobie udoisz troszeczkę. "am starczało. Jak nie było w co, to od razu tak do ust.

Obok 3 kilometry był Maksim Gorki kołchoz, to tam nawet kłoska nie można było zemleć - taka dyscyplina była. To nieraz do nas przychodzili - czy mąki czy czego. A u nas było tak, że czasmi za trudodni premię czasami dostawali za dobrą robotę: to jagnię dostaniesz, wykarmisz, to prosiaczka, latem zielem wychowa się, a w jesieni to drobniutkie kartofli, jakoś skarmi się. Zawsze kawałek mięsa.



Ten przedstadietel dobry był -nie robił różnicy między Polakami a Ruskimi. Tylko tego może już mówić nie będę... Niektórzy Polaki z dwóch rodzin nie byli dobrzy: po ogrodach chodzili, to ich tam nie lubili. Nie bronili - w kołchozie możesz brać co chcesz, ale już w ogrodzie nie. ~~I Polak, i Ruski~~ I Polak, i Ruski ~~ixPxlakxyi~~ takie same ogrody mają. Ale Ruskie się nie odgrywali... Tylko jakoś inaczej na nich patrzyli... Jak złe, to powiedzą "polska mord!", a jak dobre, to nic. Ja na Ruskich nie narzekam, to takie same ludzie jak i my. Jak ich rozkułaczali, to ich do ziemi zakopywali i na 40 stopni kładli - żeby do kołchozu się zapisaali. Tak oni opowiadali. Tamte ludzie nie byli takie kiepskie, może dlatego, że w biedzie chowani. Nie ma co kłamać, ale nie ma co na nich mówić.

Od nas poszli do Andersa z Zacisza sporo, ale nie z nami oni byli. I tatusia mego też zabrali, ale coś tam komisja nie przyznała i wrócili z powrotem. Szli na ochotnika - który się nadawał, to poszedł. W Szamanajsze było jakieś polskie biuro. Tam się opiekowali Polakami. ←My tam nic nie wiedzieli, ani radia, ani gazety, tylko tam do Szamanajchy jeździli i tam już wszystko rozkazywali te delegaty polskie.

Powrócili w 46 r. ,rodzice przyjechali w maju, a ja w czerwcu sama. Jak już pociąg ruszył, ja nie zdążyła i wsiadła na wagon-ławkę. Jak ja podjechała kilak godzin, zmrzła dobrze i mnie zaraz tyfus schwycał. Kilka dni do Moskwy, a tam duża gorączka i zostawili mnie w szpitalu. Miesiąc tam leżała. Opiekowali się dobrze, lekarz taka była która w Polsce na froncie była. Opowiadała, jak w Polsce było - źle nie opowiadała, że ludzie niekiepskie byli. Wyzdrowiała, ale jeszcze 14 dni leżała bez gorączki. I niby była już zdrowa, ale kiedy poszła na prześwietlenie, to może jak stąd do stodoły ledwo przeszła... Taka słaba była...

Tam mi powiedzieli, żeby do polskiej ambasady pójść i doktor mnie zaprowadziła. Oni musieli się rozpisnąć, że mnie przyjęli, że za mnie odpowiadają, a nie ona. Jak zajdziesz, to wypisywali, co trzeba, ale



coś nie+bardzo załatwili, bo jak do Brześcia przyjechali, to nie chcieli mnie przez granicę przepuścić, tylko jakiś Żydek tam był i wreszcie dobrze mnie załatwił. W tej ambasadzie konserwy takie amerykańskie mi dali, wypisali. Rodzice mnie pieniądze zostawili, to ja kupowała chleb po 10 rubli kilogram - na kartki po rublu, ale ile mi tam trzeba było...

No więc z tej ambasady ja pojechała pociągiem Moskwa-Brześć, osobowy pociąg. Wieczorem wsiadła, raniutko już mnie obudzili. Kupiłam sobie bilet - dopiero później konduktor w Polsce powiedział mi, że nie powinnam była brać biletu. Ambasada mi biletu nie dała, nic mi nie powiedzieli. Dali te konserwy, materiału kawałek na bluzkę, choć najbardziej potrzebne mi byli buty, i pończochy dali jeszcze.

Zatrzymała się u wujka w Białymstoku. Chciał mnie zatrzymać, żebym się najadła, ale kiedy spał, ja poszła piechotą do Zacisza, do domu. Jak przyjechała do Białegostoku, wszystkie patrzyli, akurat to byli Zielone Świątki, a ja szła po Granicznej w walonkach! Później już nie dała rady iść, to dorożkę wzięła. I tak dotarła do domu.

p.Kragiej Indeks osób wywiezionych 10.02.40

- 10 -

reusi Zwi'sne k. Priebepokolu

Cieśluk, rodzina

Grzybowski

Hancewicz, rodzina

Hancewicz Feliksa

Hancewicz Hipolita

Hancewicz Jan, ojciec Hipolity

Hancewicz Mieczysław

Hancewicz Zdzisław

Hancewicz Zuzanna

Hardejucy

Kuryłowicze

Łoś, rodzina

Mirośniczenko, rodzina

Mirośniczenko Kalina

Ropelwscy

Rusiłowicz

Sokólski

Sułkowski (czy Szałkowski?)

Szatrowscy

Walendziuk

Jan: Hipolita Kuziel z d. Hamulcis  
Zwi'sne, 16-060 Zebtudoiv.